

O KOLORACH

– z Eugeniuszem Getem Stankiewiczem rozmawia Mirosław Ratajczak

W wywiadzie, jaki przeprowadził z Tobą przed laty Zygmunt Korus, wspomniałeś, że studia na PWSSP we Wrocławiu uświadomiły ci, że jesteś – powiedzmy – dość szczególnego rodzaju kolorystą, nawet na tle tak bogatego w indywidualności i różnorodnego zjawiska, jakim był polski koloryzm od czasów kapistów aż po współczesność. To odkrycie, jak mogę sądzić po latach opisywania Twojej twórczości, było także jedną z nielicznych korzyści, jakie odniosłeś – jako artysta – na drodze instytucjonalnego kształcenia się, bo zawsze byłeś przede wszystkim wewnątrzsterownym samoukiem.

Oto przykład na to, że artystom niezbędne jest społeczeństwo i jego instytucje. Nie wystarcza talent i tzw. osobowość. Jeśli jesteś daltonistą, a ja jestem, to możesz nigdy się o tym nie dowiedzieć, jeżeli ktoś ci tego nie uświadomi. Chociaż, na akademii możesz raczej usłyszeć, że malujesz „dziwnie”, bez polotu, albo „tępo”, a jaka jest tego prawdziwa przyczyna, to już musisz ustalić na własną rękę.

Przed studiami nigdy nie przyszło ci do głowy, że z kolorami jest w twoich przypadku coś nie tak? Rysowałeś i malowałeś przecież od dziecka, byłeś w kółku plastycznym, wystawiałeś swoje prace.

Studiowałem jeszcze architekturę na Politechnice Wrocławskiej i tam też nikt mi tego nie wytknął. Po prostu, dopóki nie stawiałem przed sobą takich – kolorystycznych – zadań, nie było problemów. Malowałem, jak potrafiłem. Czasem słyszałem nawet: o, jakie interesujące próby kolorystyczne. Ale w komentarzu tego typu nie ma elementu porównywania, jest tylko stwierdzenie, które nie odsyła mnie do niczego poza mną, mojemu widzeniu nie przeciwstawia się żadne inne widzenie. Pamiętam jak Bieniek, prowadzący nasze kółko plastyczne we Wschowie, zdziwił się kiedyś, gdy na wycieczce plenerowej namalowałem na obrazku białe słupy telegraficzne. Powiedział właśnie, że to jest bardzo interesujące. A ja to zrobiłem na oślep, po prostu potrzebny był mi kontrast. Nie myślałem o kolorze, tylko rozwiązywałem problem walorowy: jasne – ciemne. To, że widzę kolory inaczej, rzeczywiście dotarło do mnie dopiero w Szkole Plastycznej, kiedy trzeba było malować rzeczy oczywiste, jak trawa, dachówki, niebo itd. Radziłem sobie z tym czytając etykiety na tubkach farb, a jak były zamazane, to pytałem kolegów z pracowni: co to za kolor?

Wiesz, to jest tak, jak ze skoczkiem, który skacze wzwyż; ktoś z zewnątrz może powiedzieć: jaki piękny ma styl skakania, ale sam skoczek tego nie widzi, wykorzystuje naturalne predyspozycje, intuicyjnie, przede wszystkim zależy mu na wyniku a wartość estetyczna powstaje niejako na marginesie.

Nie chce mi się wierzyć, że w żaden inny sposób nie odkryłeś wcześniej swojego daltonizmu.

Coś dochodziło do mnie, ale to raczej od strony życia codziennego. Na przykład, zawsze zdumiewało mnie, że Mama kupując w sklepie jakiś materiał, wychodzi z nim przed sklep, na światło dzienne, i ogląda. Myślałem, że to taki rytuał, bo dla mnie rzecz była w „jaśniej – ciemniej”, a nie w „bardziej kolorowo”. Samo słowo „kolor” nie miało dla mnie klarowności, choć oczywiście używałem go. Kłopoty były także ze zbieraniem grzybów. Szliśmy całą paczką i reszta już miała sporo różnych grzybów w koszykach, a ja tylko kurki. Po prostu, na ciemnym tle widziałem kurki bardzo dobrze, a te inne grzyby, w kolorze poszycia, były niewidoczne. Próbowałem je zbierać inaczej – kładłem się na ziemi i wypatrywałem kształtów, a nie kolorów, ale i tu szło mi marnie, bo byłem krótkowidzem.

Często też zastanawiałem się, dlaczego tyle jest słów na określenie czegoś, co jest do siebie podobne a brakuje słów na określenie różnic, które ja zauważałem. Kiedy miałem przynieść „coś szarego”, to wpadałem w popłoch, bo większość rzeczy była szara.

W jakiś sposób jednak wiedziałem, że są kolory. Jestem przekonany, że je widziałem. Pamiętam takie sny, jeszcze z dzieciństwa – kolorowe? Czy można je tak nazwać? Cały czas zastanawiam się: gdzie zaczyna się widzenie koloru? To było duże przeżycie, choć nie zdawałem sobie sprawy, że śnię kolorowo. To stało się po prostu częścią, elementem snu, jego niezwykłości. I nie była to żadna „pamięć koloru”, jak można by to wytłumaczyć w innych przypadkach, bo ja jej mieć nie mogłem. Po latach to do mnie dotarło.

A co sprawiło, że sprawy koloru ostatnio tak cię fascynują? Ostatecznie już się z tym zżyłeś, radzisz sobie po swojemu, widzę jednak, że dzieje się tu coś nowego...

Czuję, że dojrzałem do spraw koloru. Możliwe nawet, że zaczynam widzieć kolory. Może dzieje się to z przyczyn fizjologicznych, zmieniam się na starość i zmienia się coś w moim łbie, w oku. Tu zresztą rzeczywiście się coś zmienia, bo mam kłopoty z oczami, ale może właśnie dlatego? Nikt mi nie potrafi powiedzieć, o co chodzi, bo wiesz, okuliści nie zajmują się kolorami, są bezradni jak ja, to raczej sprawa psychologów, neurologów... Wpadła mi w ręce książka Wittgensteina *O kolorach*. I strasznie mi namieszała w tych sprawach z kolorem, ale z drugiej strony Wittgenstein opisał to, o czym tyle razy myślałem, gdy próbowałem te rzeczy po swojemu porządkować. Ta rozprawa, która mnoży pytania, odpowiada na wiele moich wątpliwości i prowokuje nowe, nie tylko takie, które mogłyby dotyczyć mnie w tej szczególnej sytuacji; to o czym pisze Wittgenstein jest ważne dla wszystkich zajmujących się kolorem, a także dla tych, którzy uważają, że widzenie kolorów, rozmawianie o kolorach, wyobrażanie sobie kolorów to są oczywiste sprawy. Myślę, że w powszechnym stosunku ludzi do koloru jest spora doza swoistego „daltonizmu”. Powoli zaczynam rozumieć, że pod tą pokolorowaną powierzchnią, jest dużo więcej. I jest to niezwykle.

Swoją drogą, przychodzi do głowy pytanie: jakie mam prawo o tym mówić? Bo to jest problem węża, który zobaczył, że są ptaki. Są węże, które potrafią „latać”, potrafią wyskoczyć w powietrze nawet na parę metrów, są i takie, co żyją na drzewach i skaczą – latają? – z jednego na drugie. Czy one mogą mówić o lataniu? Uczucie „lotu” jakoś w nich istnieje, ale gdyby zaczęli mówić o lataniu – ci specjaliści od pełzania – to co mogłoby z tego wyniknąć? Jestem ciekawy.

Komu chcesz w szczególności o tym opowiedzieć?

Kolegom daltonistom... i koleżankom!

A czy przez te wszystkie lata spotkałeś wśród plastyków kogoś, kto przyznał się, że jest daltonistą?

Nie, nigdy.

Nawet wtedy, gdy przed wieloma laty ogłosiłeś, że jesteś daltonistą i poniekąd pokazałeś, że może to być „szczęśliwa”, bo kreatywna sytuacja?

Nie, nikt się nie zgłosił. Może dlatego, że to nie wypada być daltonistą, kiedy ukończyło się akademię, ma się dyplom magistra sztuki, lub tytuł profesorski...

Przypomnijmy moment, kiedy po raz pierwszy z premedytacją wykorzystałeś w swojej twórczości to, że jesteś „kolorystą inaczej”?

Nie jestem pewien, czy to było pierwsze, ale w okolicach połowy lat siedemdziesiątych robiłem takie nalepki, na których były zielone literki na czerwonym tle, te napisy głosiły, w trzech językach, że: CZERWONE JEST CZERWONE, KPACHO KPACHOE, RED IS RED. Były też podobne prace na większych planszach. U dołu miały dopisek: *Daltoniści są na świecie*. Pracowałem wtedy przy sitodruku oraz eksperymentowałem z folią samoprzylepną. To było bardzo wygodne, bo nie musiałem niczego malować, wybierałem kolor z katalogu, podawałem krój liter, komponowałem..... Coś w tych pracach nazywałem, a raczej grałem nazwami, bo w końcu – co było zielone, a co czerwone? Czy słowo (litera), czy tło? Chciałem pokazać, że precyzja nie zawsze jest do osiągnięcia, a jeśli ją nawet czasem osiągamy, to coś zamykamy, tracimy. (Żeby zobaczyć bakterię pod mikroskopem elektronowym, musimy ją zabić.)

W drugiej połowie lat 70. zrobiłem taki plakacik do wystawy w Galerii „Na Jatkach”, którą prowadził Bogdan Górecki. Była na nim marchewka z natką; marchewkę zrobiłem zieloną, a natkę czerwoną. Taki prosty zabieg. Podpisałem tę pracę – *Z zielnika daltonisty*. Zachowałem się wtedy zgodnie z

powszechnym wyobrażeniem o daltonistach, którzy na zielone mówią czerwone i odwrotnie. To nawet nie dotyczyło mnie, mojego widzenia kolorów, to dotyczyło stereotypu daltonisty. I tak znalazłem się na tej ścieżce... Zbudowanej również z banału.

Pytano mnie wielokrotnie, jak to jest z tym moim daltonizmem. I złapałem się na tym, że jest przyjemnie mówić o sobie, że nie widzę kolorów. Oczywiście, nie sobie to mówiłem, tylko innym. W odpowiedzi słyszałem: nie, to niemożliwe, przy takiej wrażliwości, albo: nie wierzę, kłamiesz. Wtedy powoływałem się na badania lekarskie, pokazywałem wpis do książeczki wojskowej, gdzie jest nawet podany numer tej mojej ułomności. Przyjmowano to do wiadomości, albo nie; „coś” jednak pozostawało z tych rozmów i „coś” musiałem z tym zrobić.

Przychodzi mi do głowy, że prace, o których mówisz, inspirowane były nie tyle problematyką koloru, specyficznym ich widzeniem przez ciebie, ale pojęciami, słowami, rozmowami, w których sądy, wyobrażenia i nawyki rozmówców zderzały się z sobą, bądź rozmijały się. Słowem, że one były w pewien sposób pracami konceptualnymi. Mógł je zrobić każdy, niekoniecznie daltonista.

Mógł, ale nie zrobił. Ale rzeczywiście ja musiałem jakoś rekompensować te moje ułomności, powiedzmy – fizjologiczne, działaniami, nazwijmy je – intelektualnymi, musiałem mieć jakieś pomysły na tę sytuację. Oczywiście, mój brak odczuwania (właściwego?) koloru sprawiał, że reagowałem mocno na słowa o kolorze. Pyszne rzeczy zresztą można zrobić z kolorem w słowach. Znasz pewno taki termin „rozbicie na kolory”? Teraz te operację wykonuje się z pomocą komputerów, ale kiedyś trzeba było, na przykład projektując okładkę, czy plakat, rozbić projekt na poszczególne barwy: purpurę, błękit, żółć. Nie miałem z tym praktycznie problemów, ale popatrz – nie widzę tych kolorów, ale „rozbijam coś na kolory”, jakbym rozbijał coś na kawałki. Jak tak to sobie przedstawiałem, było komicznie.

Zielnik. Nie wiem, jak brzmi słowo „zielnik” w innych językach, ale po polsku „zielnik daltonisty” jest czymś, no.... sympatycznym. Chciałem kiedyś nawet stworzyć taki prawdziwy zielnik, ale to specjalna umiejętność, o czym przekonałem się oglądając wiele zielników, które są w różnych wrocławskich zbiorach. Te z XIX wieku są szczególnie piękne.

Prac pod tytułem „Z zielnika daltonisty” zrobiłeś kilka....

Chciałem to ciągnąć długo, w tamtych czasach materiału na „zielnik daltonisty” starczyłoby do końca życia. Ale wiesz, prędzej czy później taki pomysł może się znudzić, no więc znudził mi się „prędzej”.

Wokół tych prac powstało jednak wiele innych, na podobnych conceptach opartych, choć już nie pod tym samym tytułem. Cały ten rozdział, pod względem koloru, zdominowany jest przez czerwień, poza nią istnieje tam tylko biel, szarości i czern.

Jest taki zespół prac, ale w tym czasie powstawały też prace innego rodzaju, na przykład *Węże do wyszywania, i nie do wyszywania*, obrazki z Ciapkiem, szyldy (m. in. *50% białego i 50% czerwonego*), owale... Pamiętasz ten owal z czarną ręką naturalnej wielkości trzymającą malutką, czerwoną chorągiewkę? Tutaj był nie tylko problem koloru, jego jakości, ale też skali, ilości. To dla mnie ważne: od jakiego momentu widzi się kolor? Czy mikropunkcik też jest kolorowy? Czy trzeba zobaczyć hektar koloru, żeby powiedzieć, że to jest kolorowe? Jak o tym opowiadać?

Ta chorągiewka była wzięta z winiety „Trybuny ludu”?

Nie. To była moja łopocząca chorągiewka. „Trybuna Ludu” w kontekście tej pracy pojawiła się przypadkowo. Zrobiliśmy z Jasiem [Aleksionem – przyp. M. R.] wystawę w Przemyśle; cenzor, który ją oglądał przed otwarciem, zatrzymał się nagle przed tym obrazem i zapytał: Dlaczego taka mała? No, to ja szybko wyskoczyłem do najbliższego kiosku „Ruchu” i kupiłem „Trybunę Ludu”. Rozłożyłem te wielką płachtę i wskazując paluchem mówię: a tu jest jeszcze mniejsza! Nic nie odpowiedział i poszedł sobie.

Wróćmy do sprawy dominującej roli czerwieni w tamtych pracach.

E. G. S.: To nie była moja zasługa ani wina, że w tamtym czasie kolor czerwony był pod specjalnym nadzorem. Chociaż, jak wiesz, sam w jakiś sposób uczestniczyłem w tworzeniu rangi tego koloru; należałem do partii, prawie do 1978 roku, ta legitymacja była przecież czerwona, chodziłem na pochody pierwszomajowe, niosłem czerwoną szturmówkę itd. (czy daltonista może nieść kolorowy sztandar?). Ale coś mi się jednocześnie zdawało, że ten kolor został zawłaszczony, że zostałem w pewien sposób ograbiony z niego. Stąd brały się te obrazki, i nie tylko one. Próbowałem także założyć Towarzystwo Ochrony Czerwonego, ale okazało się, że takim towarzystwem jest już zupełnie inna instytucja, która nie pozwala dublować tej funkcji – stania na straży. W związku z tym założyłem Nie zarejestrowane Towarzystwo Ochrony Czerwonego.

Cieszyło mnie najzwyczajniej w świecie, że wśród tej czerwieni, która była robotnicza, albo patriotyczna, albo pierwszomajowa, itd., nagle pojawiła się czerwień daltonisty...

Albo jeszcze inaczej: tak, manipulowałem tym wszystkim. A po co? Bo było to jak szczeniacka zabawa z racami, które pięknie wybuchają, gdzieś tam pod niebem, choć mogą też urwać palce, czy rękę temu, kto się bawi nimi nieumiejętnie. Byłem kolorystycznym piromanem, kierowała mną ciekawość, co się stanie jak pomieszam – w kolorach, w pojęciach...

Czy można powiedzieć, że to były prace polityczne, a twój daltonizm pełnił w tym całym procederze tylko rolę instrumentalną?

Nigdy mnie nie interesowało przebywanie w takim określonym polu – na przykład na środku boiska – interesowały mnie obrzeża, marginesy. Wiesz, kiedy chce się jakoś rzeczywistość podzielić, precyzyjnie oddzielić jedno od drugiego, na przykład dobro od zła, kolorowe od nie-kolorowego, to okazuje się, że zawsze coś zostaje, w środku, na brzegach, jakieś paprochy, które są niepodzielne. Ja się zawsze takimi resztkami interesowałem, miejscami, w których pojawiała się mgła...

Wydaje mi się, że demonstracją polityczną w tamtych czasach mogło być raczej malowanie kwiatów. Nie maluję szturmówek, maluję bzy! – tak można było powiedzieć i tak zademonstrować swój protest przeciw „czerwonemu”.

Chcę tu przypomnieć pewne zdarzenie, których kulis być może nie znasz. Pamiętasz, w roku 1981 byłem redaktorem takiego specjalnego numeru „Odry” robionego przez młodych autorów spoza redakcji. Zamówiłem wtedy u ciebie okładkę, a ty zaprojektowałaś taką prostą czerwoną aplę (zwykle na kolorowej apli drukowaliśmy w „Odrze” jakiś obrazek lub zdjęcie), bez niczego więcej. To był akuratnie numer majowy. Słyszałem wtedy różne komentarze na temat tej okładki; jedni mówili, że dość brutalnie przypomina ona wszystkim, którzy w gorące „Solidarności” zapomnieli, kto w kraju rządzi, o „czerwonych”, inni twierdzili, że „Odra” reakcyjnie świętuje 1 Maja, ty chyba byłeś przekonany (to moje domniemanie), że czerwony (kolor) jest wreszcie wyzwolony, a księgowa, kiedy przyszło do płacenia honorarium za projekt, powiedziała, że nie da ani grosza, bo na okładce NIC NIE MA.

Ładne. Nie znałem tej opowieści. Ale popatrz, ten kolor ciągle jeszcze, no, może nie prześladowuje nas, ale tkwi w naszym życiu. Niedawno przemianowano Plac Czerwony we Wrocławiu na Plac „Solidarności”. Oczywiście Nie zarejestrowane Towarzystwo Ochrony Czerwonego, w osobach Piotra Wieczorka i mojej, zaprotestowało przeciwko tej operacji. Bez skutku zresztą.

Zaryzykowałbym twierdzenie, myśląc o pracach z cyklu „Z zielnika daltonisty” i podobnych, że byłeś wtedy, w latach 70. kolorystą na miarę epoki realnego socjalizmu.

Powiem inaczej – byłem kolorystą rzeczywiście na miarę tamtej epoki, ale w innych pracach i z innych powodów. Głównym powodem było to, że na farby obowiązywał przydział. Na Jatkach, w sklepiku dla plastyków nie można było kupić np. trzech czarnych i siedmiu białych farbek, można było kupić po jednej żółtej, niebieskiej, czerwonej, itd. Wracalem więc do domu z torbą wyładowaną kolorami wszelakimi, a ponieważ żal było je wyrzucać, używałem je przy innych pracach.

Właśnie chciałem cię o nie zapytać. Jak na grafika twoja twórczość od początku była bardzo kolorowa. W plakacie jest to oczywiste, ale poza plakatem kolor u ciebie był wcale nie mniej bogaty.

To nie były grafiki kolorowe, ale kolorowane. To ważne rozróżnienie. Popatrz na moje pudełko z kredkami – tylko cztery z nich są krótkie, mocno zużyte. Reszta jest prawie nie ruszona. Tak jest teraz i tak było kiedyś. Co jakiś czas musiałem więc okazać wobec tej reszty trochę czułości, dotyczyło to też słoiczków i tubek z farbkami. Jeśli tego nie robiłem one (farbki) po prostu wysychały.

Te prace, o których mówisz, to najczęściej rysunki podzielone na takie komórki do wypełnienia. Używałem do tego czystych kolorów, nigdy nie mieszałem farb na palecie. Jeśli miałem coś namalować w tonacji błękitnej, to kupowałem wszystko co według etykiety wiązało się z tą nazwą. No, bardzo dużo słoiczków i tubek. Oczywiście umykałem od niektórych kolorów, nigdy nie wiedziałem na przykład, co zrobić z pewnymi fioletami i czerwieniami, one były dla mnie jakby zawieszone..... Z brązami jest łatwiej, w błękitach „niebiesko”, między żółcią i czerwienią mógłbym do końca życia dreptać, w czerni i bieli czuję się najwspanialej, i w szarościach.... Kiedy jednak trzeba użyć więcej niż czterech kolorów, to wpadam w panikę. Gdyby ktoś kiedyś przeanalizował te prace, te w których używam wielu kolorów, zauważyłby, że one są jakoś podzielone, tam są takie sekwencje kolorów ułożonych w tych komórkach, o których wspominałem wcześniej. Prawdopodobnie nie umiałbym wywołać w sobie emocji poprzez ułożenie, na przykład, fioletów. No, w słowach mógłbym to jakoś nazwać, ale tak naprawdę to trzeba namalować, żeby przeżyć. W pracach typu *Z zielnika daltonisty* nie musiały zaistnieć emocje, bo były to prace intelektualne, pojęciowe, tam wystarczyło rozumieć kolor – jaki ma kontekst kulturowy, symboliczny etc.

Popatrz jak w tej chwili posługuję się kolorem. Najbardziej zużyte mam kredki zielone, czerwone, niebieskie i żółte. Wykorzystuję je niemal do każdej pracy w ostatnich latach. Moje obrazy mają zawsze górę i dół; na górze jest niebo – kreseczka niebieska, na dole ziemia, trawa – kreseczka zielona, w środku coś czerwonego, nad niebieską żółć lub złota plamka – słoneczko. To jest taki czysto estetyczny zabieg, który pozwala mi komponować całą stronę, a zarazem jest to jakby mój podpis, znak, że to powstało w latach 90. Tak, w swojej niedoskonałości używam koloru.

Co to jest, to „coś czerwonego w środku”?

Wrocław październik – grudzień 2000 r.